

Dekameron 2020 Laureaci (15) "Skserowany obłąd"

„Skserowany obłąd”

Jakub Żuraw

Kserokopiarką zastawiałem drzwi.

Wyznania. Pocałunki. Perfumy.

Trzydziestoletnie nastolatki.

Przyszedł krach. Biuro chwilowo zamknięte, wreszcie z konsekwencją kata zamykane coraz to bardziej i bardziej. Czytasz maila, dzień dobry, jesteś zwolniony, ale dopracuj zdalnie ten miesiąc wypowiedzenia, z poważaniem. Firma do likwidacji, imprezy pożegnalnej brak. Nie udamy się na ostatnią alko-wieczkę. Kserokopiarka na serwis aukcyjny, nasz romans do niszczarki. Podobnie moje serce. Ona... Zniknęła za parawanem kwarantanny, a wkrótce potem zamilkła na dobre za zachodnią granicą.

Do agencji pracy przypałałem się później, przypadkiem, gdy przyciśnięty do chodnika widmem bezdomności, traciłem resztki sensu życia. Nie, żebym kiedykolwiek wielce garnął się do pracy. Skądże znowu – uważam, że nikt dobrowolnie nie cierpi na podobną przypadłość. Brudne ręce, siniaki, podatki, wreszcie mordęga i najpewniej kalectwo, tak kojarzyłem pojęcie „pracy” samo w sobie. Mało pociągające zajęcie. Rutyna. Śmierć. Bluzganie na szefa, co to nie potrafiłby złożyć długopisu tak dobrze, jak ty, nawet gdyby mu gotowca włożyć w tyłek. Bezsens. Anarchia. Dłubanie w nosie przed wyciszonym telewizorem. Już mi bliżej do tego.

Dobrze, gdybym wygrał na loterii, chwycił Pana Boga za zsiniałe jądra i zdobył świat za bezcen. I „voila”. I cześć, frajerzy. I hula hop, spieprzam, tyle mnie widzieli, niech sobie siedzą i ładnie pachną na przecenionych tapczanach, ze specjalnymi wnękami na resztki fast-foodów ze wczorajszych kolacji. Tak przedstawiał się plan. Niestety, ostatni puszczonej w stęchłej od spalonych marzeń kolekturze kupon okazał się statkiem, który już nigdy miał nie dobić do portu mojej kieszeni. Szalupy ratunkowe porwał wiatr beztroski – choćby grosze nie dyndały na dnie parszywej kieszeni. Rodziny na ławce rezerwowych żadnej, także żebractwo poprzez krew wykluczyłem na wstępnym etapie procesu wychodzenia z dołu. Zostałem niecznie pozbawiony funduszy przez nocne alter-ego, bezmózgiego drania, na co niebagatelny wpływ miały częste wizyty przy kranach z piwami górnej fermentacji oraz ordynarne windykcje, do których posuwały się osoby oburzone okazywanym przeze mnie nikłym zainteresowaniem, jeśli chodziło o wyrównywanie długów. Objawiało się ono rzadkim podnoszeniem słuchawki telefonu i zaburzeniami dźwiękowymi, kiedy już udało mi się przecisnąć z lejka krtani drobne: „Czego?”. Nierzadko: „Pomyłka!”. Lichwa, kto by się spodziewał. Myślałem, że prawdziwy upadek rozpocznie się od wizyty w burdelu i obrzygania jakiejś prostytutki. No. Jednak nie. Szedłem na dno na skróty, chyba tylko ja tak potrafiłem.

„Trzeba było nie pożyczać. I tyle, dupku!” – slogany, slogany dudniące w uszach zaraz po tym, jak spasiony przedstawiciel ruchu aryjskiego wybije ci trzonowca. Lichwa, to aż tak boli? Jakbym wiedział, to bym uciulał, cholera!

Tak więc z samego rana, któregoś tam czerwca, wypędzono mnie z kilkunastometrowego pokoju,

połączonego w upośledzonym związku małżeńskim z toaletą, która to niespecjalnie nadawała się do przycupnięcia – nie, jeśli nie chciało się dostać grzyba po poprzednim najemcy. Gburliwy brudas, tak go zapamiętałem. Nawet nie wyniósł po sobie śmieci – może uważał, że przydadzą mi się jego zużyte kondomy, że pełnię funkcję genetyka i będę zadowolony z materiału do badań nad, zgadywałem, niepłodnością czy innym zgnuśnieniem plemników. Co ja tam zresztą wiem o biologii, nic, żaden ze mnie patolog, raczej patologia, po prostu gościa obrażam, bo go nie trawiłem.

Niemal w samych ubraniach pokłóconych z proszkami do prania, chyba omyłkowo wraz z szafą spryskanymi aerozolami na mole, znalazłem się na ulicy. Idealnie już wystylizowany do doli włóczęgi. Nieogolony od dekad, wkurzony, ze zmarszczką uwypukloną na czole w napis: „Czemu ja, do diabła?”. Tylko pozorna trzeźwość różniła mnie od najgorętszych, kloszardowskich nazwisk, wybijających z pobliskich barów jak szambo ze ścieków. Najczęściej wybijających z hukiem. Wkrótce miałem zresztą przystąpić do ich smutnych batalionów. Przynajmniej takie karty tkwiły w łapskach, co robić. Ochroniarze nie należeli do cackających się dżentelmenów. Ciskali typkami, często niekontaktującymi już w locie, prosto na twarde, upiornie połyskujący bruk, sprawiający wrażenie flesza aparatu wyzwalanego przez wyjątkowo pechowe szczęki. Wróżka-Zębuszka czekała na takie okazje jak starowinka na przecenioną w markecie czekoladę dla wnuków. Wyprzedaże trwały zwykle całymi weekendami.

Wiele zaistniało kombinacji zdarzeń, jakie plamiły mnie, moją duszę, moje nadszarpnięte czakry, rozrywały w strzępy niegdyś prężnie działającego na gruncie towarzyskim i zawodowym, od planszy życia. Rzadko zdarzało mi się wypstrykać z dobrych emocji. Nie, nie mi. Pierwszy lepszy John czy Janek, nieudacznicy z boskiego przydziału, dawno dali by sobie spokój, krótką wycieczką do sklepu z bronią prostując pomyłkę, jaką przypuszczalnie byli. Gamonie wśród głupców. Samobójcy. Ale nie ja. Nie potomek inżyniera i skromnej kury domowej. Moje żyły tłoczyły plebejską, niezmaconą leserstwem krew, wprawiając w ruch wspaniały materiał na golema, chętnego wyłącznie do żarcia, opróżniania i pracy ponad ludzkie możliwości. Słowem: spalonego słońcem budowlańca, smalonego płomieniami hutnika czy innego, męskiego odpowiednika baterii. Nic, tylko chwycić za zad i wsadzić do mechanizmu zębatkowego byle miasta.

Uknułem zacny plan podjęcia pracy zarobkowej. Legalnej. Nieźle płatnej. Tylko dziwnej. Ale jaka praca nie jest dziwna, jaka nie hańbi? Czułem całym sobą, że i tak już dawno byłem przekreślony, nic więc nie stracę. Mogłem w to wdepnąć, przynajmniej na jakiś czas. Szczególnie w czasach kryzysu miłym przywilejem mogło się okazać otrzymywanie comiesięcznej wypłaty.

Szpiczasty budynek unosił się na szczycie wzniesienia, nazywanego w okolicy „Góra biedy”. Nie obchodziło mnie dlaczego. Po prostu dyndał tam, wizualnie trzymając się raczej liny zawieszonej wysoko w niebie, niżli przyciskając wielki stempel obecności na trawiastym licu, jak winien czynić gmach podobnej wielkości. Porośnięte jakąś łuszczącą mchu ściany sprawiały wrażenie stęsknionych za kulą do wyburzania ruin. Jakiś dzieciak spokojnie mógłby przeprowadzić ciekawy eksperyment na lekcję fizyki, przypinając doń kolejno balony z helem i notując, za którą sztuką konstrukcja oderwie się od podłoża, by ulecieć w stronę słońca.

Wspinaczka rodem z San Francisco, gdzie ulice mogłyby spokojnie służyć jako śmiercionośna zjeżdżalnia dla wózków inwalidzkich. Szybko się zasapałem. Czułem na sobie wzrok skonsternowanych przechodniów, którzy nie za bardzo wiedzieli, jak się na mnie nie gapić. Drepczący włóczęga. Śmieszne. Ha, ha! Sam zachodziłem w głowę, czy mógłbym się sobie oprzeć. Łysy łeb tej klasy świetnie spełniłby się jako główka od fotela, a czaszka stanowiłaby wzorowy kielich do napojów wyskokowych. Więcej zastosowań dla tak zmizerniałej istoty nie sposób znaleźć. Cholera, naprawdę miałem siebie dosyć.

Agencja pracy oferowała desperatom wyjazdy zagraniczne, na których zachęcano do przeżycia przygody, zarobienia sporej sumki i odnalezienia wspaniałych kumpli, z którymi aż do późnej starości można by wędkować, wędzić szynki i pić dobre, regionalne piwo. Ci, umiejący czytać między wierszami, odnajdywali w oficjalnej ulotce nieco odmienny w treści przekaz. Przygoda to inaczej możliwość przetrącenia karku. Najczęściej w beczeszczący dla zwłok styl. Niezła kasa podobno miała się zgadzać, choć już w szkole podstawowej uczą, że trupom pieniądze potrzebne są tylko na kosmetyka i trumnę, resztę zaś przejada gruby facet w niemożliwie wysokim wieżowcu, najczęściej zaśmiewając się do rozpuku i cynicznie kopiąc nad twoim nekrologiem cygaro. Tak czy inaczej, brali tych, którzy nie obawiali się epidemii.

Nie pytajcie, dlaczego otworzyłem punkt ksero. Nie pytajcie, skąd miałem pieniądze. Powiedzmy, że zarobiłem trochę, tułając się po ciepłych krajach, wyspach i rozmaitych konstelacjach geograficznych. Istotny jest tylko moment, w którym uzbroiłem się w używaną kserokopiarkę.

Dotarła na palecie. Zdjęcie folii stanowiło banał. Sam przed sobą zaprezentowałem fehmistrzowski kunszt posługiwania się nożem do tapet, ciach-ciach i stała przede mną naga, gotowa do rozgrzania i niewolniczej pracy. Myślałaś, że pora na emeryturę? Wysypisko, Karaiby, Ustka? Zbieranie muszelek? Tu cię mam!

Spojrzałem na nią. Dziwnie znajoma. Niemożliwe...

Tak, to te same, skrzypiące koła. Wytarte przyciski. O, tutaj stawialiśmy kawę. Pamiętam...Opierała się o ten bok, a ja wtedy... Cholera.

Otworzyłem szufladę na papier A4. Ze zdziwieniem zauważyłem w niej list. Serce. Wreszcie zabiło, poczułem, że pod swetrem coś płonie. Pierwszy raz od dawna nie miałem ochoty kpić z życia. To ono zakpiło ze mnie.

Wiadomość od niej. Sprzed lat. Skąd? Numer telefonu. Oby aktualny.

Zadzwoń.